



# Dlaczego należy zlikwidować Ministerstwo Cyfryzacji?

Zanim zacznę rozwijać tytułową tezę, pragnę podkreślić, że tekst odzwierciedla wyłącznie moje prywatne poglądy – jest subiektywny, świadomie kontrowersyjny i może nawet przejawiać przesadę. Ale po kilkudziesięciu latach pracy przy informatyzacji administracji państwowej można stracić cierpliwość. Ciekaw jestem, co na ten temat sądzą inni udziałowcy tych procesów.



**Jarosław Deminet**

informatyk od 1979 r., był nauczycielem akademickim, urzędnikiem, szefem działów produkujących oprogramowanie w korporacji, konsultantem biznesowym, publicystą. Członek założyciel PTI, obecnie pracownik Rządowego Centrum Legislacji i sekretarz Zarządu Oddziału Mazowieckiego PTI.



Jesienią tego roku odbędą się wybory parlamentarne i powstanie nowy rząd. Niezależnie od tego, kto ów rząd będzie tworzył, będzie musiał zdecydować, co zrobić z tzw.

Zgodnie z ustawą o działach dział informatyzacja obejmuje sprawy:

1. informatyzacji administracji publicznej oraz podmiotów wykonujących zadania publiczne;
2. systemów i sieci teleinformatycznych administracji publicznej;
3. wspierania inwestycji w dziedzinie informatyzacji;
4. realizacji zobowiązań międzynarodowych Rzeczypospolitej Polskiej w dziedzinie informatyzacji i telekomunikacji;
5. udziału w kształtowaniu polityki Unii Europejskiej w zakresie informatyzacji;
6. rozwoju społeczeństwa informacyjnego i przeciwdziałania wykluczeniu cyfrowemu;
7. rozwoju usług świadczonych drogą elektroniczną;
8. kształtowania polityki państwa w zakresie ochrony danych osobowych;
9. telekomunikacji;
10. bezpieczeństwa cyberprzestrzeni w wymiarze cywilnym;
11. rejestru PESEL, Rejestru Dowodów Osobistych, Rejestru Stanu Cywilnego oraz Rejestru Dokumentów Paszportowych;
12. ewidencji pojazdów, ewidencji kierowców oraz ewidencji posiadaczy kart parkingowych;
13. nadzoru nad świadczeniem usług zaufania w rozumieniu przepisów o usługach zaufania;
- 13a. identyfikacji elektronicznej.

W styczniu 2023 r. przy okazji zmiany kodeksu wyborczego powierzono pieczy ministra od informatyzacji także Centralny Rejestr Wyborców.

„działem informatyzacja” oraz jednostkami organizacyjnymi i urzędnikami związanymi z tym tematem. W praktyce oznacza to zadania, których jedynym wspólnym elementem są komputery. Rozwiązań było wiele, ćwiczonych przez różnych premierów. Dział był częścią Ministerstwa Administracji i Cyfryzacji, Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji, podobno był pomysł połączenia ze sportem. Kompetencje też się zmieniały, teraz są nad miarę rozbudowane.

Moim zdaniem rozwiązanie jest bardzo proste: dział należy zlikwidować, a jego kompetencje podzielić między inne działy (a więc i resorty). Łatwo mi to napisać, bo od zawsze byłem przeciwnikiem utworzenia takiego działu, a tym bardziej odrębnego ministerstwa. Spierałem się o to wielokrotnie z kolegami informatykami, liczącymi, że ustanowienie ministra cyfryzacji spowoduje podniesienie rangi informatyki. Niestety, przy formułowaniu takich tez zabrakło doświadczenia urzędniczego.

Parę słów wyjaśnienia dla osób, które nie są biegłe w założeń organizacji rządu. Otóż przydział kompetencji ministrom odbywa się dwustopniowo. Po pierwsze, ustawa z dnia 4 września 1997 r. o działach administracji rządowej (zmieniana od tego czasu 45 razy) definiuje prawie 40 działów (w tym informatyzacja, ale także np. gospodarka morska, gospodarka wodna czy żegluga śródlądowa). Następnie premier swoim rozporządzeniem przydziela poszczególne działy ministrom. Z kolei Rada Ministrów rozporządzeniem tworzy ministerstwo jako urząd obsługujący ministra. Obecnie (od 1 maja 2023 r.) to Minister Cyfryzacji kieruje działem informatyzacja, a obsługuje go Ministerstwo Cyfryzacji. Konsekwentnie będę dalej pisał o ministrze od informatyzacji, czyli o tym, któremu przydzielono dział informatyzacja (oficjalnie nazywa się on ministrem właściwym do spraw informatyzacji).

Jedynym wspólnym mianownikiem tych zadań jest jakiś związek z komputerami (choć w przypadku telekomunikacji nie jest to oczywiste – równie dobrze można by twierdzić, że i kolejnictwo korzysta z komputerów). Nawet laik dostrzeże, że związek ewidencji posiadaczy kart parkingowych z identyfikacją elektroniczną albo realizacją zobowiązań międzynarodowych w dziedzinie informatyzacji i telekomunikacji jest bardzo luźny.

Wyraźnie widać kilka grup zadań: informatyzacja administracji (punkty 1, 2, 11, 12), działania regulacyjne (4, 5, 8, 10, 13, 13a) i ogólnocywilizacyjne (3, 6, 7, pewnie także 9).

Skupię się na pierwszej grupie zadań, czyli informatyzacji administracji. Przydział pozostałych jest osobnym problemem, ale zwykle większy sens ma połączenie w jednym resorcie zagadnień zbliżonych do siebie horyzontalnie (podobne sposoby finansowania, zbliżone przepisy) niż wertykalnie (dotyczących komputerów albo samochodów).

Na przykład wspieranie inwestycji w dziedzinie informatyzacji nie różni się od wspierania inwestycji w dziedzinie motoryzacji czy produkcji makaronów i powinno być domeną resortu gospodarki (jakkolwiek by się nazywał). No bo czy inwestycja w stworzenie nowego tomografu należy do dziedziny informatyzacji czy medycyny? A co z dronami czy samochodami autonomicznymi? Na szczęście (na razie) nikt nie nawołuje do stworzenia działu motoryzacja, który by obejmował budowę autostrad, wspieranie budowy samochodów, egzaminowanie kierowców i utrzymanie parku samochodowego poszczególnych ministerstw.

Nie wykluczam, że zagadnienia regulacyjne mogą pozostać w odrębnym dziale, ale na pewno nie w osobnym resorcie. Pewnie najlepiej byłoby połączyć wszystkie regulacje (energetyka, kolejnictwo, telekomunikacja, informatyzacja itp.) w jednym ministerstwie (infrastruktury?), oddzielnym chińskim murem od nadzoru właścicielskiego, ale to już wielka polityka wykraczająca poza kompetencje informatyka.

### Informatyzacja administracji w teorii

Od kilkudziesięciu lat w świecie komercyjnym wiadomo, że tzw. przedsięwzięcia informatyczne są zwykle w istocie przedsięwzięciami biznesowymi i powinny być nadzorowane przez sponsorów, czyli osoby, którym przyniosą korzyść. Sponsorem nowego systemu finansowo-księgowego musi być dyrektor finansowy, sponsorem CRM – szef marketingu, sponsorem ERP – szef produkcji (do spółki z księgowym). To sponsor wie, po co podejmuje się dane przedsięwzięcie, jakich oczekuje się korzyści, ile warto na nie wydać i jak będą w nie zaangażowani podlegli mu pracownicy merytoryczni. To on walczy o pieniądze w zarządzie, uzasadnia – a potem to on odpowiada za sukces. To on musi przeprowadzać analizy biznesowe i podejmować decyzje w razie problemów – czy rozpoczynać pracę z niegotowym systemem, nawet gdy będzie to pracochłonne dla pracowników? Czy czekać na uruchomienie całości? Czy zerwać umowę i szukać innego wykonawcy? Czy rozszerzyć zakres systemu kosztem opóźnienia wdrożenia?

Oczywiście sponsor koncentruje się na swojej działce, co jest często demonizowane jako tzw. silosowość.

**”** *Znane powiedzenie mówi, że systemy informatyczne dzielą się na te zintegrowane i te działające.*

Przyjmuje się, że czas budowy systemu (albo jego modułu) nie powinien przekraczać trzech lat – przy jego przedłużaniu rośnie ryzyko istotnej zmiany warunków biznesowych albo technologicznych – co znacząco utrudnia zaprojektowanie, zaprogramowanie i wdrożenie rozległego, zinte-

growanego systemu. Poza tym jest naturalne, że system buduje się najpierw tam, gdzie przyniesie to największe korzyści. Analizowałem kiedyś systemy obsługujące pewien globalny bank. Było ich kilkadziesiąt, pochodzących z różnych epok i korzystających z różnych technologii. A mimo to (a może właśnie dlatego) bank wciąż działa sprawnie i efektywnie.

Chief Information Officer (CIO), jeśli jest, powinien ustanawiać firmowe standardy, wprowadzać zasady architektury korporacyjnej i ewentualnie być sponsorem przedsięwzięć horyzontalnych, takich jak intranet czy system obiegu dokumentów. Ale zawsze musi to robić z punktu widzenia interesów całej firmy, a nie wygody informatyków. Nie śledzę teraz branżowych dyskusji, ale wydaje mi się, że powszechne i entuzjastyczne przekonanie sprzed kilkunastu lat o przemożnej roli CIO w firmie potem jakby osłabło, zgodnie z gartnerowską krzywą rozczarowania.

Znaczenie roli sponsora było widać kilka lat temu przy desperackiej próbie wdrożenia kolejnej wersji ewidencji pojazdów i kierowców. Sądząc z wiadomości prasowych, produkt nie był jeszcze całkiem dokończony. Nie oznacza to jednak, że decyzja o wdrożeniu musiała być błędna – w świecie komercyjnym jeśli system pozwala oszczędzić 100 tys. zł miesięcznie, to warto wdrożyć go nawet w stanie surowym i wydać 50 tys. na czasowe zatrudnienie dodatkowych osób, premie za nadgodziny itp. Ale taką decyzję może podjąć tylko sponsor, bo tylko on może potem narzucić pracownikom merytorycznym jej wykonywanie. W opisywanym przypadku wygląda jednak na to, że decyzję podjęła minister od informatyzacji, a jej konsekwencje spadły na urzędników podległych zupełnie innym osobom, które z kolei umyły od całej sprawy ręce. Nikt nie uprzedził tych urzędników, że przez kilka tygodni lub miesięcy może być ciężko, ale warto przez to przejść, że będą dodatkowe pieniądze na premie. Dokładnie to samo dzieje się w firmie komercyjnej, gdy wdrożenie systemu finansowo-księgowego jest traktowane jako przedsięwzięcie informatyczne, a personel księgowy ustawia się w roli naburmuszonych recenzentów.

W administracji sponsorem systemu zawsze powinien być minister właściwy tematycznie (a właściwie jeden z wiceministrów, bo minister jest politykiem, nie musi się znać na szczegółach i nie ma na nie czasu). To on musi wiedzieć, po co system jest i jakie przyniesie korzyści. To on musi od strony biznesowej ocenić, ile kosztuje każdy

dzień opóźnienia i czy opłaca się czekać na system gotowy w 100%, czy lepiej rozpocząć wdrożenie jak najszybciej. Udane wdrożenie powinno być jego osobistym sukcesem (i kolejnym szczeblem do kariery), nieudane – osobistą porażką. Jeśli tak nie jest, to system po prostu nie ma sensu (tak przez jakiś czas było z „osieroconymi” przedsięwzięciami w ochronie zdrowia – nikt nie wiedział, do czego właściwie miały być potrzebne). Minister od informatyzacji tego wszystkiego nie wie, nie wiedzą także jego pracownicy.

Podsumowując: nie ma sensu powierzanie ministrowi od informatyzacji odpowiedzialności za PESEL, rejestry dowodów osobistych czy paszportów, które są ściśle związane z tzw. sprawami wewnętrznymi czy administracją. Skąd urzędnicy z ministerstwa informatyzacji mają wiedzieć, jakie dane są potrzebne w dokumentach stanu cywilnego? Nie wiem, czy rejestracja pojazdów i kart parkingowych bardziej pasuje do spraw wewnętrznych, czy do infrastruktury, ale na pewno nie do informatyki. To samo dotyczy przedsięwzięć z innych dziedzin. Nawet w przypadku systemu zarządzania dokumentami sponsorem powinna być osoba odpowiedzialna za dział administracja, a nie spece od informatyzacji, którzy widzą tylko niewielki fragment całości zagadnienia.

Słyszałem głosy, że jest bezpieczniej dla praw obywateli, gdy nadzór nad rejestrami sprawuje „techniczny” Minister Cyfryzacji, a nie „polityczny” Minister Spraw Wewnętrznych. To szkodliwy mit.

” *Nie ma „technicznych” ministrów. Minister od informatyzacji, tak jak każdy inny, zawsze jest politykiem.*

Rada Ministrów działa jako całość, każdy z ministrów podpisuje się pod wszystkimi rządowymi projektami ustaw, także tymi najbardziej kontrowersyjnymi dotyczącymi wyborów czy sądownictwa. Zresztą widzieliśmy to już przy okazji skwapliwego przekazania poczcie przez Ministra Cyfryzacji danych z systemu PESEL przy okazji wyborów kopertowych, bez podstawy prawnej.

Właściwe prowadzenie przedsięwzięć informatycznych przez ministerstwa według ich właściwości prowadziło w wielu przypadkach do dobrych efektów – choćby rejestry sądowe i resortowe Centrum Obsługi Rejestrów Sądowych czy – ostatnio, po latach niepowodzeń – przedsięwzięcia zrealizowane przez Centrum e-Zdrowie, ale także Centralna Ewidencja i Informacja o Działalności Gospodarczej (gospodarka) i POLon (nauka) – wybrałem te dwa ostatnie, bo brałem udział w pracach nad nimi i doceniam wiedzę i kompetencję pracowników właściwych resortów.

## Koordynator potrzebny od zaraz

Oczywiście nie znaczy to, że działania poszczególnych resortów nie powinny być koordynowane. Od dawna znane jest pojęcie architektury korporacyjnej czy interoperacyjności. Odpowiednikiem korporacyjnego CIO powinien być pełnomocnik premiera w randzie ministra. Ale koordynację trudno jest prowadzić ze szczebla ministra działowego, bo oni wszyscy są równi. Żaden minister nie ma władczych uprawnień wobec kolegów z rządu, chyba że jest wicepremierem. Ale powoływanie kolejnego wicepremiera do koordynowania informatyzacji nie jest niezbędne. Widać to dobrze na przykładzie legislacji. Już w 2000 r. powstało Rządowe Centrum Legislacji, które jest zbrojnym ramieniem premiera, poza strukturą resortową. Jego uwagi zgłaszane na etapie uzgodnień mają w praktyce dużo większą wagę, niż uwagi zgłaszane przez resorty, właśnie ze względu na specyficzną formę powiązania z premierem. W dziedzinie informatyzacji zapewne nie jest potrzebne tworzenie podobnej instytucji – wystarczyłby departament informatyzacji administracji w ramach kancelarii premiera, pod nadzorem sekretarza stanu – pełnomocnika premiera. Pełnomocnik powinien być zarazem przewodniczącym komitetu do spraw cyfryzacji, opiniującego propozycje zmian w prawie oraz inwestycji w tym zakresie. Departament powinien odgrywać rolę koordynacyjną, nie prowadzić ani nie nadzorować żadnych przedsięwzięć, a jedynie określać zasady prowadzenia ich przez innych i weryfikować stosowanie się do nich.

” *Resorty (zwłaszcza te mniejsze) mogą mieć problem z budową kompetencji w zakresie rozwoju i utrzymania systemów informatycznych. Warto byłoby utworzyć instytucję, posiadającą wiedzę i doświadczenie, występującą jako inwestor zastępczy.*

Kiedyś taką funkcję pełniło Centrum Projektów Informatycznych, z którym współpracę bardzo sobie chwaliłem. Jako osoba merytoryczna musiałem tylko dostarczyć opis koncepcji i wymagań, a Centrum przygotowało na tej podstawie szczegółową dokumentację, przeprowadziło przetarg, zajęło się protokołami i formalnymi odbiorami. To, komu takie Centrum będzie podlegać, jest sprawą trzeciorzędą.

Nie ma natomiast uzasadnienia budowa państwowych firm informatycznych, tworzących oprogramowanie na potrzeby administracji. Pracowałem wiele lat po obu stronach barykady i wiem, że zasady pracy bardzo się tam różnią. Można próbować budować spółki skarbu państwa, które imitują firmy komercyjne, tylko po co? Mam general-

nie liberalne poglądy na gospodarkę i niechętnie patrzę na państwowe przedsiębiorstwa, niezależnie to tego, czy to jest mleczarnia, huta czy producent oprogramowania. Może dlatego, że pamiętam czasy, gdy innych prawie nie było – i nie są to miłe wspomnienia. Nie ma żadnego powodu, żeby jakiś urząd (np. ministerstwo) inwestował pieniądze podatników w założenie (czy wykupienie) przedsiębiorstwa, które potem będzie robiło to samo, co istniejące firmy prywatne. Warto zresztą pamiętać, że Polska jest pod tym względem nietypowa – po 1989 r. rynek zdominowały lokalne polskie firmy, a nie przedstawicielstwa ponadnarodowych (w praktyce – amerykańskich) korporacji. I te polskie firmy całkiem dobrze sobie radzą z obsługą polskich urzędów.

Symbolem słabości jest tzw. program informatyzacji państwa, kilka lat temu przemianowany na Program Zintegrowanej Informatyzacji Państwa. Składa się on z dwóch części. Pierwsza zakreśla imponującą perspektywę zintegrowanego rozwoju, osadzonego w kontekście europejskim, i pełna jest wzniosłych sformułowań, takich jak „potencjał danych w procesie transformacji cyfrowej”. Ostatnio planuje się nawet wykorzystanie potencjału Centralnego Portu Komunikacyjnego do lokalizacji instytutów badawczych, start-upów i uczelni. W ramach kontekstu europejskiego wspomina się m.in. strategię zrównoważonego rozwoju wsi, rolnictwa i rybactwa 2030. Niestety, drugą część dokumentu stanowi wykaz przedsięwzięć przewidzianych przez poszczególne resorty i tam nie widać żadnej myśli strategicznej. Po prostu każdy zgłosił to, co chciał, a ministerstwo od informatyzacji wszystko to zamieściło. Przy odpowiednio szerokiej definicji celów szczegółowych planu (obsługa interesanta, wsparcie zaplecza, podniesienie kompetencji) każde przedsięwzięcie gdzieś pasuje, ale do strategicznego programu jeszcze daleko.

Nie jest żadnym odkryciem, że firmy państwowe są zwykle mniej efektywne niż firmy prywatne. Państwowy właściciel mniej przejmuje się wynikami finansowymi niż drażniący kapitalista, częściej też nominuje na kierownicze stanowiska osoby – eufemistycznie mówiąc – niekoniecznie dobrze przygotowane i sprawdzone.

Firmy państwowe dewastują rynek zamówień publicznych, no bo przecież nie po to tworzy się taką firmę, żeby musiała startować w przetargach. Zawsze znajdzie się jakiś mechanizm przekazywania zadań, subwencji itp. Oczywiście nie pozwala to na weryfikację kosztów (bo to może

zrobić tylko rynek), w praktyce wyklucza też realną kontrolę jakości. Znam przypadki, kiedy państwowy zamawiający przeczołgiwał komercyjnego wykonawcę z powodu błahych problemów (prawdziwych lub wymyślonych). Wiadomo, firma informatyczna, pracownicy dobrze zarabiają, to niech się trochę potrudzą. Tacy sami urzędnicy pokornie znoszą ewidentne niedoróbki w oprogramowaniu wykonanym przez firmę państwową (albo zgoła pracowników urzędu) – no bo przecież nic nie można zrobić, żadnych kar umownych się nie naliczy.

Czasami podnosi się kwestię bezpieczeństwa, ale i to jest wątpliwe. Bezpieczeństwo to ludzie. Programista odchodzący z pracy z firmy państwowej może wynieść wiedzę tak samo, jak odchodzący z firmy prywatnej. Dla prywatnego właściciela zawiniony wyciek danych może oznaczać nawet upadek firmy. Dla dyrektora czy prezesa firmy państwowej – w najgorszym razie dyscyplinarne zwolnienie lub przesunięcie na inny odcinek. To który z nich bardziej będzie się starał? Polska policja przez lata korzystała z mechanizmu kontroli dostępu do danych opracowanego i wykonanego przez całkowicie prywatną firmę i nigdy nie było z tego powodu żadnych problemów.

Sens może mieć istnienie rządowego ośrodka przetwarzania danych, odpowiednio zabezpieczonego, świadczącego usługi na rzecz całej administracji, choć doświadczenie z usługami wspólnymi także i tu skłania do pewnej ostrożności – taka jednostka, jak każdy monopolista, ma tendencję do oferowania swych usług – powiedzmy eufemistycznie – po cenie nieadekwatnej do jakości. Sam miałem do czynienia z przypadkiem, gdy zapasowy ośrodek istotnego państwowego systemu po prostu przez kilka miesięcy był wyłączony z powodu awarii zasilania i nikt się tym nie przejmował, pomimo wcześniejszych umów i uzgodnień. Sytuacja niewyobrażalna w świecie komercyjnych serwerowni, dokładnie rozliczanego SLA i ogromnych kar umownych za jego niedotrzymanie.

Zapewne w każdym resorcie będą przydatne niewielkie zespoły programistów, którzy – korzystając ze zwinnych metodyk i blisko współpracując z siedzącymi obok kolegami urzędnikami – potrafią zrobić niewielkie dokrętki do istniejących systemów, makiety czy prototypy większych produktów, ale to zupełnie inna skala.

## Informatyzacja administracji w praktyce

Niestety, obecny zakres kompetencji i organizacja Ministerstwa Cyfryzacji są нефункционалne i nie jest to problem ostatnich lat – dzieje się tak od początku istnienia działu. Próby koordynacji nie udawały się z powodów opisanych powyżej.

Kontrola informatyzacji przeprowadzona w latach 2015 i 2016 przyniosła diagnozę, że nie jest dobrze. Ale zastosowana terapia tylko pogorszyła sytuację. Powstał super-

resort, przejmujący odpowiedzialność za wszystko, co wiąże się z informatyką. Jednocześnie zaczęto rozbudowywać część wykonawczą, utrudniając współpracę z firmami zewnętrznymi (no bo skoro mamy własną...).

Ta sytuacja prowadzi do patologii, np. gdy pełnomocnikiem ministra (a więc przedstawicielem inwestora i użytkownika) w wielkim przedsięwzięciu, wartym kilkadziesiąt milionów złotych, jest członek kierownictwa firmy, która to przedsięwzięcie realizuje. Sama firma jest zresztą nadzorowana i bezpośrednio finansowana przez tegoż ministra. Konflikt interesów jest oczywisty i regularnie daje o sobie znać. Byłem na spotkaniu „konsultacyjnym” z przedstawicielami użytkowników, czyli bodaj z setką urzędników. Spotkanie było absolutnie zdominowane przez przedstawicieli producenta, którzy ex cathedra informowali o planowanej funkcjonalności produktu. Nieśmiałe pytania i wątpliwości z sali były sprawnie ucinane przez te same osoby, tym razem już w roli przedstawicieli ministra („ustaliliśmy, że nie będziemy tego robić”).

Innym razem uczestniczyłem w warsztatach przedwdrożeniowych oprogramowania wspierającego proces legislacyjny, wykonanego teoretycznie według wskazówek pracowników Ministerstwa Cyfryzacji. Autor (a chyba i projektant) już-prawie-gotowego oprogramowania z żywym zainteresowaniem słuchał uczestników, którzy opowiadali, jak ów proces naprawdę wygląda. Specyfikacja sformułowana przez pracowników ministerstwa nie uwzględniała wszystkiego. Ostatecznie system okazał się całkowicie niesfunkcjonalny i poszedł w zapomnienie.

Podobnych problemów jest więcej. Kilka tygodni temu prasa donosiła o systemie B3 zapobiegania samobójstwom i aktom przemocy w szkołach. Wykonany przez NASK kosztem 30 mln zł (miał kosztować 25 mln), nieudostępniony szkołom, pozostaje w gestii pionu informatyzacji.

Szczerze mówiąc, gdy trzy lata temu zlikwidowano Ministerstwo Cyfryzacji i włączono jego pracowników do kancelarii premiera, miałem nadzieję, że rozpoczął się proces przywracania normalności, że realizacja przedsięwzięć dziedzinowych trafi do właściwych resortów, a departamenty koordynujące pozostaną częścią kancelarii premiera. Niestety, okazało się, że ministerstwo właśnie się odtwarza, a co gorsza ma powstać jeszcze większy moloch w postaci Agencji Informatyzacji (ustawa w drodze). Zgodnie z jej projektem instytucja ta będzie jednocześnie inwestorem, wykonawcą, kontrolerem i audytorem tego wszystkiego, co do tej pory zebrało Ministerstwo Cyfryzacji, a może i kolejnych systemów. Inaczej mówiąc: to pracownicy Agencji będą decydowali, jak ma działać ewidencja kart parkingowych i to oni będą potem to programować. Na dodatek to prezes Agencji będzie ustalał wysokość opłat za korzystanie z tych wszystkich systemów, tak aby pokryć koszty ich funkcjonowania.

Przekonanie, że pracownicy Agencji jako świadomi obywatele przy podejmowaniu decyzji będą brać pod uwagę wyłącznie interes społeczny, a nie wygodę i interes proprogramistów, jest – eufemistycznie mówiąc – pewną naiwnością.

Autorzy pomysłu z rozbrajającą szczerością piszą w uzasadnieniu, dlaczego trzeba połączyć instytucjonalnie zleciodawcę z wykonawcą:

„Formuła działania Centralnego Ośrodka Informatyki [jednostki obecnie istniejącej i podległej ministerstwu] nie sprawdza się nie tylko w sytuacjach nadzwyczajnych, lecz również w działaniach standardowych/typowych, bowiem obsługa procesu zlecenia i odbioru prac jest bardzo pracochłonna i czasochłonna. Zarówno po stronie urzędu obsługującego Ministra Cyfryzacji, jak i po stronie Ośrodka istotną część pracowników nie realizuje zadań merytorycznych, a zajmuje się wyłącznie rozliczeniami, pomiędzy dwoma państwowymi podmiotami.”

” *Inaczej mówiąc: po co nam jakieś umowy, specyfikacje wymagań czy procedury odbioru. Programista sam wymyśli, o co chodzi, zaprogramuje i przekaze użytkownikom. Dostaną za darmo, więc niech nie grymaszą.*

Tak szeroka formuła wzbudziła poważne wątpliwości prawne – Rządowe Centrum Legislacji w swoich uwagach podważyło samą koncepcję i wiele rozwiązań szczegółowych. Przedstawiciele branży informatycznej zwrócili uwagę na wyraźne naruszenie zasad konkurencji i wolnego rynku. Pomysłodawcy jednak podtrzymują swoje propozycje, lekko je modyfikując.

**Na koniec stary dowcip: ktoś pyta w tramwaju:**

– Ile przystanków mamy do dworca?

– Jeden – pada odpowiedź.



**Na następnym przystanku podróżny pyta:**

– Czy teraz powinienem wysiąść?

– A nie, teraz to są już dwa przystanki.

**Czyli nie tylko kierunek musi być słuszny, lecz i zwrot prawidłowy.**

Ciekawe, jak to wszystko będzie wyglądać za rok...